

WŁODZIMIERZ KORSAK

ur. 1928; Lubartów



Miejsce i czas wydarzeń	Warszawa, II wojna światowa
Słowa kluczowe	życie codzienne, II wojna światowa, walki o Warszawę, Niemcy, bombardowanie

Wrzesień 1939 w Warszawie

Dla mnie najgorszy okres 1939 roku był w czasie obrony Warszawy, wtedy pierwszy raz jako dziecko poznałem co to jest głód. Wcześniej mieliśmy dobre warunki domowe i ja tego nie wiedziałem, nawet nie wyobrażałem sobie, że mogę być głodny. Dla mnie to było niezrozumiałe, trzecia, czwarta nad ranem, stoimy w kolejce pod piekarnią, żeby kupić chleb. Jest nalot, rzucają bomby, ostrzelanie artyleryjskie, te pociski nieraz blisko padają, ludzie rozbiegają się, padają, są ranni. Pełno było zabitych ludzi i koni wojskowych na terenie miasta. Dla mnie to było wtedy szokujące wrażenie jak widziałem masę trupów, masę rozwalonych zwierząt, półżyjących bądź żyjących. Do dzisiaj dnia czasami się budzę w nocy, pamiętam, jak jakiś młody mężczyzna na drewnianej taczce wioził młodą dziewczynę, która nie miała nóg i ta krew lała się z tych kikutów na taczkę i na ziemię, a on wioził ją do punktu opatrunkowego. Wiadomo, że to trzeba było zatamować jakoś, ale ani on nie umiał, ani nie wiedział jak. Ja nieraz budzę się nad ranem i przypomina mi się właśnie ta młoda dziewczyna, taka blondynka, kurczowo trzymająca się tej taczki i te kikuty z tą krwią, to jest wrażenie szokujące. W późniejszych latach jak nieraz widziałem rannych czy trupy, to już nie robiło na mnie żadnego wrażenia, podchodziłem do tego, że tak jest. No ale dla dziecka 11-letniego to było wtedy może trochę zbyt ostre przejście. Okres obrony Warszawy był ciężki. Jakiś moment był, że z bratem ciotecznym żeśmy gdzieś poszli, że gdzieś był jakiś sklep, w którym można było coś jeszcze kupić, rozdzieliliśmy się w czasie nalotu, i ja wracając z powrotem trafiłem na zasieki zrobione w poprzek ulicy, bo pełno było takich zasieków robionych, i zauważyłem, że z jednego worka coś się sypie białego, podszedłem, patrzę a to jest ryż, no i ten ryż zacząłem zbierać i pchać do kieszeni, któryś z żołnierzy wyskoczył i mówi: „Czego ty kradniesz nam zasieki?”, ja mówię: „Nic nie kradnę, bo ja głodny jestem to chociaż trochę ryżu będę miał”, mówi: „Nie gadaj, tylko zabieraj ten worek”. Nie wiem, ten worek miał, 30, 40 kilo, ja to targałem, ciągnąłem, bo nie miałem siły nieść do domu na Nowolipie. Dłuższy czas to na ten ryż nie mogłem patrzeć. Dobrze,

że woda była, ale to trzy razy dziennie albo pięć razy dziennie ryż w różnym wydaniu jedliśmy. Bez soli, bez żadnej słodyczy, sam ryż, na gęsto, na rzadko. Po tylu latach nieraz jak żona gotowała to mówi: „Będzie ryż”. „Tylko nie ryż, wolę kartofle czy co innego tylko nie to”. To zostało mi tak w pamięci, ten worek, który przytargałem własnymi siłami i że przez kilka tygodni jedliśmy tylko ten ryż.

Był taki moment, upadek Warszawy, Niemcy już weszli i zgraja dzieci się kręci, chodzi i gdzieś tam była kuchnia polowa wojskowa, no i Niemiec woła, mówi: „Chodźcie świnie polskie to dam wam koryto”. Ja początkowo nie rozumiałem co on mówi, dali mi menażkę i nalewa jakiś gęstą zupę, no i mówi: „Żryj chamie polski”. I pomimo, że głodny byłem to ja wziąłem tą menażkę, w niego rzuciłem i uciekłem, no i myśmy się rozbiegli, dobrze, że nie strzelali do nas... głodny byłem, ale żeby mnie tak zublizał to ja nie rozumiem. Okres ten był dosyć ciężki, wiem, że ojciec przyjechał potem do Warszawy i zabrał mnie, ale wspomnę jeszcze taki moment, wuj Breza pracował w Ministerstwie Obrony jako architekt i jak rząd wycofywał swoich ludzi był moment, że chciał mnie zabrać, bo wycofywali się na Zaleszczyki, żebym ja się spotkał z nim. Wuj Broniek Breza mieszkał na Pradze, tam były tańsze mieszkania, ale przejść w ciągu dnia przez most Kierbedzia było niemożliwe, bo bardzo często były naloty i ostrzeliwania, tak że więcej trupów było na tym moście jak możliwości przejścia, trupów ludzkich i końskich, to trzeba było między innymi jakoś przechodzić, przelazić. Próbowaliśmy z Rutkiem kilka razy i nie daliśmy razy, wycofaliśmy się, nie przeszliśmy. Mój ojciec tydzień czasu po upadku Warszawy przyjechał furmanką, przywiózł duże ilości jedzenia, mięsa, mąki, kartofli, wszystkich prowiantów. Tak że dla jednej ciotki i dla drugiej zabezpieczenie już było. No w każdym razie, jak do domu wróciłem to już w bród jedzenia było, tylko początkowo mnie hamowali, żebym nie za dużo jadł, żebym nie dostał skrętu kiszek, a głodny byłem. No, dziecko, które rośnie musi mieć pod dostatkiem jedzenia.

Pamiętam, że ciotka z rodziną mieszkała na Nowolipiu w oficynie, a z tyłu, za oficyną był hotel i w tym hotelu w czasie obrony Warszawy był zrobiony szpital polowy. To był sześciopiętrowy budynek, na dachu były ustawione RKM-y przeciwlotnicze, z tą różnicą, że one były chłodzone wodą. Wiem, że my jako gówniarze bez przerwy kankami nosiliśmy tą wodę, bo im się woda gotowała. Czy im się udało coś zestrzelić, czy nie to trudno mi powiedzieć, w każdym razie część artylerii była właśnie na dachu, a część stała na tym skwerze przed szpitalem ewangelickim. Tam im było wygodniej, bo potem sami sobie nosili wodę, a tam na dach nie nadążyli żołnierze nosić, więc myśmy, chłopcy, im pomagali, w kankach żeśmy nosili wodę.

Data i miejsce nagrania	2019-05-13, Lublin
Rozmawiał/a	Agnieszka Piasecka
Transkrypcja	Aleksandra Drewniak
Redakcja	Maria Radek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"